

się szybko. Smukły, dobrze zbudowany, wydawał się młodszy, zwłaszcza przy sztucznym świetle.

Gościa swego powitał z zadowoleniem.

— To bardzo pięknie z pańskiej strony, Roggers, przepraszam, drogi panie Smith, że pan dotrzymał swego przyrzeczenia, uczynionego w Ameryce i przyszedł mnie odwiedzić.

Gość, do którego zwracał się z tą pewną niedbałą uprzejmością, był mężczyzną, średniego wzrostu, o szarych krótko przyszytych włosach, o twarzy żywej, jakby ruchomej, z oczami nadzwyczaj bystremi.

— Nie na długo — odpowiedział lakonicznie Amerykanin. — Pilne zajęcia. Dyabelska praca!

— Mogę się założyć, że to z powodu tej głośnej kradzieży, której ofiarą stał się miliardier Sund w Chicago, wasz żelazny król. Teraz po Europie szuka pan złodziei?

Smith uśmiechnął się, okazując zdrowe, silne zęby:

— Sza! Tajemnica urzędowa.

— I ktoby mógł przypuszczać, że mój gentleman jest pierwszym defektywem Stanów Zjednoczonych, zuchem, który zmienia swoją twarz i skórę lepiej, niż najzdolniejszy aktor, który mówi sześcioma językami i zna wszelkie gwary. Bez pańskiej uprzejmości, Roggers, przepraszam, mój drogi Smith nigdy nie zwiedziłbym tych ciekawych zakątków Ameryki, o jakich my w Europie nie mamy pojęcia. Proszę rozgościć się. Cygaro? Nie? A więc pastylkę.

Podał gościowi bombonierkę, z której Smith wziął niedbale pastylkę miętową i flegmatycznie począł ją kosztować. Ubrany według ostatniej mody, z kwiatem w butonierce, znalazłby uznanie za swą nieskazitelną poprawność, nawet u najbardziej wymagających ludzi.

Markizowi wyświadczył w Ameryce wielką usługę, zwracając mu wieczorem sto tysięcy dolarów, ukradzionych rano w pociągu w Bostonie. Również i markizowi zdarzyła się sposobność oddania przysługi Roggersowi (to było nazwisko agenta, drugie tylko pseudonimem), gdy rzuciła się na niego gromada pijaków. Markiz doskonale obznajmiony z *jiu jitsu*, wprowadził cało agenta z tej niebezpiecznej walki. Takich przysług nie zapomina się. Prawdziwem też było zadowolenie marki. gdy ujrzał u siebie człowieka, którego spryt i odwaga stały się prawie przysłowiowe.

— Spodziewam się, mój drogi Rog. Smith, że będziesz pan mną rozporządzał dowoli. Możebyśmy jutro pojechali do Lasku? Wiem, że jesteś pan znakomitym jeźdźcem, dam też panu wspaiałą klacz.

— Brak czasu, dziękuję. Dyabelskie sprawy.

— To może dzisiaj do teatru, do Komedyi francuskiej?

— Z przyjemnością... ale niemożliwe!

— Ciagle sprawy?

— Ciagle.

— Kiedyż zjemy obiad w kabarecie?

— Zatelefonuję, pozwoli pan?

— Proszę bardzo.

Markiz rozbawiony krótkimi odpowiedziami swego gościa, zapytał:

— Gdym wyjeżdżał, pan szukał głośnego zbrodniarza, zdaje mi się Astorga. Ten zadał panu wiele trudu. Co pan z nim zrobił?

— Zamknąłem, a potem powiesiłem.

— Biedny Astorg.

— O, tak, zostawił trzy legalne żony i siedmioro nielegalnych dzieci, z tych jednego negra. Przekłety lotr!

— A panu nic nie zostawił?

— Mnie? oh! nie. Dziurę od noża z jednej strony i od kuli z drugiej.

— Do dyabła! to dosyć.

— Takie zajęcia...

— Ależ to potrzeba sprytu, instynktu, obserwacji, by rozświecić jaką sprawę. Złapać zbrodniarza, to proste, ale rozwikłać kłębek, odszukać ślady, mając tylko słabe wskazówki, to sztuka.

— Nie przesadzać; przyzwyczajenie. A później ciekawość, wielka przyjemność. Bardzo wielka!

Gdy Smith to mówił, oczy mu błyszczały, nozdrza drżały, miał wyraz psa tropiącego zwierzę.

— Tak, tak — potwierdził markiz rozentuzymowany. — Czyni pan ze swego zawodu artystę. Ale, gdybyśmy znajdowali się w Ameryce, lub gdyby pan był jednym z szefów naszego prefekta policyi, Salvande, poradziłbym się pana w pewnej sprawie osobistej.

— Ach! osobistej?

Spojrzenie Amerykanina zatrzymało się złośliwie na markizie.

— Szantaż, he?

— Jak to pan odgadł?... tak, szantaż, przynajmniej tak to wygląda.

Roggers uznał to za rzecz zupełnie naturalną. Dlaczegoż nie miałby kto naciągnąć tak bogatego markiza. Najzupełniej to odpowiada wszelkim dobrym zwyczajom.

— Kobieta? — zapytał i zmrużył oko.

— Tak, kobieta. Lecz nie jest to, jak pan myśli żadna dawna kochanka. Nie. Tej szantażystki.



— Yes! Ofiaruję panu do sprzedania list za dwadzieścia tysięcy franków...

nie znam wcale. Lecz poco o tem mówić? Pan tutaj nic nie poradzi...

— Skąd wiadomo?

— A więc niech pan sobie wyobrazi, że w ciągu trzech tygodni dostałem trzy listy, pisane jedną ręką: jeden z Londynu, drugi z Brukselli, trzeci z Paryża.

— Bardzo dobrze. Te listy?

— Zaraz je pokażę. Papier elegancki, pismo długie, jak obecnie pisuje większość kobiet. Co zaś do treści...

— Well! Zakładałam się: ofiarowanie dokumentów kompromitujących do sprzedania. Drogo! Nadzwyczaj!

— Ależ pan chyba zna całą sprawę?

— Niemowlęstwo sztuki.... Chce pan? Powiem więcej: pisze, iż dokumenty te interesują pana więcej, niżby można sądzić według pańskiego milczenia. Pan zachował się bardzo roztropnie, nie nie odpowiadając. Tak?

— Tak.

— Dodano, że te papiery interesują jeszcze więcej inną osobę. Mogę ją nazwać?

— Istotnie tak, panią Morailles, moją żonę... Co pan o tem sądzi? Lecz oto listy. Przeczytaj pan!

Wyjął je ze szuflady zamkniętej na klucz. Roggers z grzeczności tylko rzucił na nie okiem.

— Yes! Ofiaruję panu do sprzedania list za dwadzieścia tysięcy franków, depeszę za trzydzieści. Drogo, jeżeli papiery nie mają wartości, bardzo tanio, jeżeli ją przedstawiają.

Markiz stał się zamyślonym; może żałował już, że tak nagle zwierzył się z tem. Roggers jednak nie był podobnym do innych, wszelka tajemnica zapadała w nim, jak kamień w wodę.

Zdecydował się.

— Będę mówił z panem, jak człowiek z człowiekiem, a raczej, jak przyjaciel z przyjacielem — i wyciągnął do niego rękę.

— Doskonale, tak! — odpowiedział z szerokim uśmiechem Amerykanin, potrząsając silnie podaną ręką.

— Sam pan przypuszcza, że te insynuacje przyjąłbym obojętnie, gdyby dotyczyły tylko mnie. Tajemnice mego życia prywatnego znają wszyscy. Jest to sekret polizynela.

Roggers zdawał się słuchać uważnie tych słów, jednocześnie przypatrując się bacznie końcom swoich trzewików.

— Lecz te insynuacje naruszają spokój mojej żony i ofiarują mi jakieś niecne dowody o osobie, którą uważam za najgodniejszą wszelkiej czci.

Roggers podniósł do góry pochyloną głowę i rzekł krótko.

— Właśnie o to tu chodzi.

Markiz powstał blady i drżącym z gniewu głosem mówił:

— Nie dopuszczę, by ktokolwiek, mężczyzna, czy kobieta, mógł podać w wątpliwość cnotę pani Morailles: postępowanie jej było zawsze najgodniejsze.

Z twarzą zmarszczoną, z zaciśniętymi pięściami zaczął chodzić wielkimi krokami po pokoju.

— To mnie tylko irytuje, że nie wiem, jakie machinacje knują przeciw kobiecie, którą winienem bronić. Jak każdy mąż i ja dostawałem listy anonimowe, rzucałem je jednak w ogień, myjąc po nich ręce. Tutaj jednak czuję jakąś skrytą nienawiść, zawziętość.

Detektyw przypatrywał mu się z zimną obojętnością. Czy odczuł, że w markizie znalazła dla siebie dostęp wątpliwość, budząc zazdrość? Opuścił wzrok na swe wygładzone paznokcie, jakby je badał skrupulatnie.

— Pan nic nie mówi? — zapytał suchym tonem markiz.

— Słucham.

Nastąpiło milczenie, poczem odezwał się znowu pan Morailles.

— Czy dać tę sumę? Obojętnem jest mi, czy zostanę okradziony. Boję się tylko, że zostanę oszukany i niczego nie dowiem się. Posiadanie tego listu i depeszy przywróciłoby mi spokój. Nie o cenę mi chodzi... Obawiam się...

Zatrzymał się przed tem wyznaniem. Ten człowiek tak pewny swej

żony, tak dumny, bał się, że wyznanie może go poniżyć. Myśli te uważał za szalone. Poważanie dla żony nie pozwalało ich dopuszczać do siebie. A jednak... Skąd te wątpliwości w nim powstały, sam nie wiedział. Te listy obudziły w nim podejrzenia. Od powrotu swego czuł, iż dokoła niego panuje jakaś tajemnica. O uczuciu takim nie można rozmyślać, czuje się tylko... Więc on oszukany, zdradzony, on! i o tem dowiaduje się od jakichś szantażystek, które posiadają tajemnicę jego ogniska domowego. Co czynić? Dlaczego do dyabła mówił o tem Roggersowi? Co on może tu poradzić?

— Sądzę — zdecydował się wreszcie przemówić Amerykanin, który domyślił się udreczeń jego duszy — że pan nie chce mieszać w to sądu?

Trafił dobrze. Markiz uczyniłby to, gdyby nie obawiał się, że za dużo dowiedziałby się wtedy.

— Istotnie; trzeba by naprzód wysledzić ją, a potem aresztować. Będzie się broniła, weźmie adwokata. A gdy to będzie jakiś złoczyńca patentowany, który goni za skandalami?

— Tak, będzie zmyślał, kalunniował... Bardzo źle! Nie można skarżyć. Lecz policja?

(Ciąg dalszy nastąpi.)